ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Sierpnia. Ner 33. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. Rozmaitości.)

II.

Manello i Giglia.

Jednego wieczora wracałem od mego mistrza Angelo Volpe, słynnego w sztuce robienia mozaiki; miałem wtedy piętnaście lat. Ukończyliśmy byli właśnie tego dnia ornamentacyę przepysznéj tablicy z różowego drzewa cedrowego, zamówioną od Ojca świętego; była-to kosztowna robota, gdzie najpiękniejsze pomniki wiecznego miasta oddane były w najmisterniejszéj mozaice.

Angelo Volpe, mąż zacny jakich mało, widząc to arcy-dzieło wykończone z wszelką starannością, dał każdemu z swych uczniów po dwa talary rzymskie jako gratyfikacyę.

Wracałem tedy pełen radości z tym piérwszym owocem méj pracy. W tém zbaczając z ulicy Mariodi-Fiori, zobaczyłem ładną dziewczynkę może dwunastu-letnią, która przypadkiem stłukła wielki dzban gliniany napełniony winem. Trzoda kóz dojnych przechodząca właśnie ulicą, była przyczyną tego wypadku.

— Ah! biedna Giglia! dostaniesz bicie jak wrócisz do domu, zawołała półżartem a na pół wzruszona kuma z sąsiedztwa rozwieszająca właśnie chusty nad oknem swego pomieszkania.

— O sicuro! odpowiedziała Giglia, i rzewnie zaczęła płakać.

Łzy biédnego dziecka tak mnie rozczuliły, że sam omało się nierozpłakałem. Na szczęście poczułem brzęk moich dwóch talarów w kieszeni: bez namysłu ofiarowałem jéj te pieniądze by ją pocieszyć. Niechciała ich przyjąć.

— Dziękuję, rzekła, obcierając oczy; ale zawsze będą mnie łając w domu, bo dzbanek mój stłuczony.

Na to wziąłem ją za rękę i poszliśmy razem do garncarza gdzieśmy kupili nowy dzbanek, a w pobliskim sklepie napełniliśmy go winem. Biedna dziewczynka tak była szczęśliwa, że mi się rzuciła na szyję i uściskała mnie silnie, że omal powtórnie niestłukła dzbanka, który ja sam niosłem.

Po drodze opowiadała mi że jest chrzesną córką pewnego *Monsignore*, który obiecał ożenić się z nią gdy podrośnie. Powiedziała mi że jéj matka bardzo skąpa; ale zato ojciec, Giannone Michelli,

bardzo dobry i ubóstwia swoją jedynaczkę Giglię. Zresztą wyznała mi że rodzice jéj niesą bogaci, a ojciec utrzymuje się z ogrodnictwa.

Przed domem uściskała mnie raz jeszcze z wszystkich sił dziękując i prosząc mnie żebym ją często odwiedzał. Dziecinna naiwność, ujmująca i naturalna gracya ładnéj dziewczynki, jéj wylana wdzięczność, zrobiły na mnie wrażenie niewymownéj radości; było-to niejako przeczucie miłości. Jéj miła twarzyczka otoczona ciemnemi lokami nieprzestawała już uśmiechać się do mnie od téj chwili. Jak tylko weszła w dom i drzwi się za nią zawarły, zacząłem skakać na ulicy i pobiegłem wykrzykując z radości, jak gdybym znalazł wielki skarb. Rozdawałem między ubogich bajoki, które mi wydano z piastra zmienionego dla Giglii; mogli ludzie myśléć żem właśnie został bogaczem.

Zaraz nazajutrz wyszedłszy z pracowni poszedłem pod okna Giglii i przechadzałem się chwilę, nim nabrałem odwagi wejść do domu. Pragnąłem zastać ją na progu ażeby mnie wprowadziła, bom nieznał jéj rodziców.

Po chwili usłyszałem okrzyk radości: był-to głos Giglii która spostrzegłszy mnie, pokazywała mnie swemu ojcu z którym rozmawiała giestykulując z wielkim zapałem. Potem zeszła na ulicę, rzuciła mi się na szyję i pociągnęła mnie za rękę do ojca.

— Chodź, prędko *caro mio*, ojciec chce cię widziéć, opowiedziałam mu wszystko.

Poczciwy ogrodnik dziękował mi serdecznie i chciał mnie gwałtem zatrzymać na obiad. Na to nadeszła matka; niewiem jak ją Giannone Michelli przygotował na moje przybycie, ale przyjęła mnie dość dobrze. Była-to kobiéta jeszcze czerstwa, i nad moje spodziéwanie z wyrazem twarzy uprzejmym i pogodnym; piękne miała ramiona, włosy obfite, przytem trochę otyła, jak zwykle Rzymianki. W ogóle zrobiła na mnie dość dobre wrażenie.

Podczas obiadu mówiła wiele o chrzesnym ojcu swéj córki Monsignore Ettore Testaceio. Wychwalała jego dobroć, jego wielkie znaczenie i wielką hojność. Opowiadała jak familia jéj krewny Kamilli przez podobny związek przyszła do majątku; dała się nawet słyszéć w tym względzie z kilkoma dość rubasznemi żartami, ale to nieraziło nikogo; taki był widać jéj zwyczaj.

Gdybym był człowiekiem doświadczonym, byłbym poznał w gadaninie téj kobiéty że pragnie zaszczytów, a jeszcze bardziéj bogactwa, niebędąc wcale trudną w wyborze środków do dopięcia swych celów. Ale nieznałem się wtedy na ludziach, i spędziłem wieczór jak najprzyjemniéj.

Gdym odchodził, Giannone odprowadzał mnie z Giglią:

— Zaczekaj na mnie chwilkę, rzekł do mnie.

Wnet powrócił z wielkim bukietem kwiatów, które pościnał przy świetle księżyca w swoim ogródku.

— Manello! rzekł podając mi te kwiaty, to dla twojéj matki. Giglia i ja pro-

simy cię, przyjm te kwiaty, chociaż nie są tak wonne jak twój uczynek wczorajszy.

Uściskałem raz jeszcze i ojca i córkę i zaniosłem kwiaty Plautilli, córce mistrza Angelo Volpe, bo matkę dawno już byłem utracił.

Od owego dnia zawiązała się między nami ścisła przyjaźń; odwiedzałem dom zacnego Giannone Michelli o każdéj porze i według upodobania; przyjmował mnie jak syna, a Giglia kochała mnie jak brata.

Zapomniałem panu powiedzieć, że będąc siérotą chowałem się pod opieką stryja, który namiętnie lubił grę, więc daleko mniéj dbał o przyszłość swego synowca jak o zabawę przy kartach. Jedyne dobro które mu zawdzięczałem, było, że mnie powierzył mistrzowi Angelo Volpe, ponieważ spostrzegł że mu psuję meble wycinając dziwaczne figury nożykiem na stołach, drzwiach i oknach. Ale zresztą niewiele się troszczył o to czyli co korzystam lub nie. Jakoż i ja niewiele sobie zadawałem pracy; robiłem u mistrza Angelo tylko tyle, ile było potrzeba ażeby mnie nie odpędził; często nawet i do tego niemiałem chęci; i gdyby nie dobra Plautilla, jego córka, która mnie bardzo polubiła, byłbym już nieraz stracił miejsce u starego.

Owoż od czasu jakiem spotkał Giglię, odkąd dobrym uczynkiem pozyskałem rodzinę, gdzie mnie kochano, uczułem w sobie zapał do pracy i chęć do nauk, jakiéj nigdy przedtem nie znałem. Mistrz spostrzegł wnet to moje nowe usposobienie.

— Widzisz Manello, rzekł do mnie pewnego dnia, ogień sztuki zaczyna obudzać się w tobie; odważnie naprzód! jesteś na drodze szczęścia. Jeżeli wytrwasz, zaćmisz mnie swym talentem. Ah! jakżebym był dumny! gdyby z méj pracowni wyszedł kiedy mistrz jak Calandra, jak Leone Ghezzi, Pietro Adami, jak bracia Cristofari, którzy uwiecznili arcydzieła naszego malarstwa, przenosząc je w mozaice kamiennéj lub krzyształowéj na mury św. Piotra.

Mówiąc to, Angelo Volpe podniósł ku Niebu garść błyszczących sześciokątów mozaiki, która właśnie była w robocie, na znak że wzywa Boga na świadka swych życzeń.

Tymczasem Giglia rosła i stawała się z każdym dniem piękniejszą; z każdym dniem przybiérała więcéj wdzięku i powabów. Dziewczynka wyrastała w kobiétę, a ja, którego zawsze uważała za brata, patrzałem szczęśliwy i zdumiony na tę cudowną zmianę. W miarę jak się stawała piękną, czułem w sobie wzrastający talent.

O! miłość najpotężniejszą dźwignią duszy; to boski płomień oświécający wszelką pracę człowieka. Gdy już nieprzyświéca sercu naszemu, jeniusz gaśnie, a rozpoczęte dzieło nikczemnieje. Robotnik gdy kocha, staje się artystą; artysta gdy kochać przestanie, schodzi na robotnika.

Wtajemniczałem się wtedy we wszystkie uniesienia miłości; chociaż sam sobie nieumiałem z tego zdać sprawy; byłem już namiętnym kochankiem, chociaż jeszcze niepojmowałem mego uczucia.

Piérwszy klejnot, który zdobił Giglię, był dziełem mych rąk; zrobiłem dla niéj broszę przedstawiającą w misternéj mozaice parę gołąbków pijących wodę z czarki. Była-to kopia starożytnego arcydzieła znanego pod imieniem „Gołębi Furieta,“ ale kopia tak doskonała, gołąbki piły tak naturalnie z czarki; ruch i kolor oryginału były tak dobrze oddane, że jeden miłośnik ofiarował mi za tę sztukę dwadzieścia pięć piastrów *colonnate*. Ale chociażby mi był dawał i

sto, niebyłbym dał tych ładnych gołąbków komu innemu jak mojéj Giglii.

Piérwszą długą szpilkę, która przymocowała lśniące sploty jéj kruczych włosów, rodzaj puginału o złoconém ostrzu, który tak się podoba prawdziwym Rzymiankom, otrzymała Giglia także odemnie. Nad wypracowaniem głowy tego klejnotu spędziłem niejedną bezsenną noc: na tle błękitném zrobiłem N. Pannę trzymającą w prawém ręku pęk lilii, *Giglii.*

Jakże szczęśliwym się czułem gdym mógł dodać ozdoby jéj wdziękom! Tą razą zachwycona była poetyczną aluzyą ściągającą się do jéj imienia.

Gdym miał kilka godzin wolnych, chodziliśmy razem do ogrodów w których pracował Giannone Michelli; nauczał nas nazwy kwiatów i wracaliśmy szczęśliwi do domu z wiązankami tych kwiatów. Gdy nadeszło lato, uganialiśmy wieczorem za muszkami świętojańskiemi za temi latającemi iskierkami na *Monte-Pincio*, a w zimie czytaliśmy ładne książki które mi pożyczała dobra Plautilla, która mnie témbardziéj polubiła, że już niepotrzebowała ujmować się za mną u ojca Angelo Volpe.

Więcéj niż trzy lata upłynęło od mego spotkania się w ulicy Mario-di-Fiori z małą dziewczynką, kiedy płakała nad stłuczonym dzbankiem; dziecko wówczas dwunastuletnie zaczynało teraz rok szesnasty; ja miałem już blisko dziewiętnaście. Mimo-to była ona zawsze tak swobodna, zawsze tak spokojna jak wtedy, gdy mnie piérwszy raz uściskała na progu swego domu. Witała mnie zawsze temi samemi pieszczoty, ale ja nieprzyjmowałem ich już z tą samą spokojnością.

I tak naprzykład gdym chciał zatknąć piękną szpilkę z liliami w jéj włosy, powiesiła mi się na szyję by okazać w sposób wyrazisty, ile ją cieszy ten ładny podarunek. Byłem przyzwyczajony do tych wyrazów jéj wdzięczności; wtedy jednak uczułem niewymowne zmieszanie; krew we mnie zapłonęła jak gdybym był w gorączce; zaczerwieniłem się cały a ręka mi tak drżała że niemiałem odwagi upiąć ostrą szpilkę stalową w jéj włosy. Położyłem ją zmieszany na stół i usiadłem w kącie pokoju.

Ona przypisując to pomieszanie méj niezręczności, zaczęła się śmiać, potem znowu przypatrywać się szpilce; tak że miałem czas ochłonąć z tego dziwnego wzruszenia.

Drugi raz znowu objąłem ją silniéj niż zwykle i namiętniéj, i znowu tego samego doznałem pomieszania.

Córka mistrza Angelo Plautilla, która o cztéry lub pięć lat była starszą odemnie, rzekła mi razu jednego:

— Manello mio, tyś zakochany?

— Nic o tém niewiem, Signorina.

— Ah! Manello, dodała, strzeż się, miłość największém nieszczęściem, jeżeli niejest największém szczęściem.

Kilka już razy wspomniałem o córce mistrza Angelo, muszę panu powiedzieć o niéj kilka słów, ażebyś ją pan znał dobrze, gdy znowu o niéj mówić będę.

Plautilla miała wtedy około dwadzieścia cztéry lat; miała włosy jasne, a podobna była do znanych nam portretów Lukrecyi Borgia; to jest była bardzo piękna. Zresztą może była mniéj piękna jak Lukrecya, ale to pewna że była lepszą.

W ośmnastym roku zakochała się namiętnie w pewnym przejeżdżającym Francuzie, w awanturniku, który chętnie korzystał z téj sposobności by sięgnąć do szkatuły mistrza Angelo Volpe.

Stary ojciec opierał się z początku życzeniom córki; ale widząc ją rozpaczającą z miłości za tym cudzoziemcem, zmiękł nakoniec i przyzwolił na związek tak niepewny. Przeczucie niezawiodło go; zaledwie w miesiąc po ślu-

bie mąż ukochanéj Plautilli umknął pewnego dnia z posagiem żony i niedał już o sobie słyszéć.

Plautilla niechciała zrazu wierzyć żeby się jéj mąż oddalił nazawsze, długo, długo spodziewała się jego powrotu. Gdy wkońcu straciła ostatni promień nadziei, wycierpiała już tyle że już niemiała siły by pomnożyć swoje zmartwienie. Wtedy-to umieścił mnie stryj u jéj ojca. Byłem siérotą, ona wiedziała o tém i pokochała mnie jak matka. Niepowinienem przeto dziwić się, że gdym się szczérze zakochał, ona piérwsza odgadła co się działo w mém sercu.

Niewiedziałem jeszcze co mogło dobrą Plautillę na tę myśl naprowadzić. Jednak zacząłem rozważać jéj słowa.

W kilka tygodni przypatrywaliśmy się Giglia i ja, tańcom młodzieży pod łukiem tryumfalnym Konstantego w pobliżu Colyseum, jak to się często zdarza w dnie świąteczne. Jeden z tancujących przystąpił do Giglii prosząc ją w taniec; jéj matka odprawiła młodego człowieka w imieniu córki i to było szczęście: bo ta prośba oburzyła mnie do żywego i uczułem mimowolny popęd do kłótni z napastnikiem.

Byłem zazdrośny; to uczucie zupełnie nowe dla mnie, otworzyło mi zupełnie oczy. Musiała więc Plautilla mieć słuszność, bo uważałem już Giglię za moją własność.

Wieczór, Marya Michelli, matka Giglii, wszczęła rozmowę o tém bezczelném wezwaniu do tańca:

— Co to? zapraszać moją córkę do tańca pod gołem niebem jak prostą dziewczynę z Trastevere! *bruto!*

— Słusznie pani mówisz! zawołałem z uniesieniem; gdyby się był opierał, zdaje mi się iżbym się był porwał na niego.

— Przecież to chrzesna córka Monsignora! prawiła daléj matka; i ty nie niepowiedziałeś temu zuchwałemu natrętnikowi, ty Giannone, co jesteś jéj opiekunem i ojcem?

— Moja droga, odpowiedział zacny Giannone, niemyślałem żeby w tém było co złego, kiedy ktoś widzi że moja Giglia ładna i zaprasza ją w taniec; zresztą Maryo, to twoja rzecz odpowiadać za mnie.

— Niezniosę tego, odrzekła matka głosem niebardzo spokojnym, ażeby się gachy kręcili około méj córki, kiedy Monsignore przyrzekł że jéj znajdzie bogatego męża, który nas wszystkich troje uszczęśliwi.

Byłem jak piorunem rażony słysząc powtórnie o tych widokach, które tak bawiły Giglię gdy jeszcze była dzieckiem. Zbladłem jak śmierć, spojźrzałem na Giglię; biédna dziewczyna pobladła jeszcze bardziéj niż ja, i zdawało mi się że padnie zemdlona. Stary Giannone spojźrzał na nas, pojął nasz ból i spuścił głowę nieśmiąc sprzeciwić się swarliwéj żonie.

Marya Michelli wyrzekła te okrutne słowa niedomyślając się wrażenia jakie na nas wywarły, wstała i wyszła rozgniewana; Giannone poszedł do okna, by ukryć swe wzruszenie. Zostaliśmy sami.

— Bóg świadkiem, Giglio, rzekłem do biédnéj dziewczyny, obejmując ją z uniesieniem, Bóg świadkiem moim że nigdy kogo innego kochać niebędę prócz ciebie!

— Manello mio!.... Manello mio!.... odrzekła cichym głosem płacząc z rozrzewnienia, niewiedziałam jeszcze ile cię kocham.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DWA DWORY.

Powieść przez *** (z Biblioteki Warszawskiéj.)
(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 30. 32. Rozmaitości.)

IV.

Wieczór sobótkowy.

(Na dziedzińcu pod jaworem siedzi pani Adamowa z pończoszką w ręku. Halina czyta:)

„Gdy na górze świta dzionek,
„A w dolinie śrebrzy rosa;
„I ja spiewam jak skowronek,
„I ja lecę pod niebiosa.
„Lecę, gonię złudzeń marę,
„Z kwiatów życia wieniec plotę;
„Piękność — miłość — cnotę — wiarę,
„Na ogniwo spajam złote“ *).

(Kładzie książkę i patrzy w dolinę. Chwila milczenia; pani Adamowa pogląda na nią z uczuciem)

Halina *(po chwili.)*

Przebacz mi matko, ale te słowa,
Niby złocistéj przędzy osnowa,
Myśl tak oplotły: że mimo wiedzy,
Jak on skrzydlaty skowronek z miedzy
Chyżo ubiegła przez mgły i chmury,
Z dźwiękiem piosenki prosto do góry.

Pani Adamowa.

Daj myśli bujać swobodnie, dziécię,
W wieńce majowe zaplataj kwiecie:
Tyleż ich w cichéj rośnie dolinie!
O! nawet w szaréj życia godzinie,
Owe porankiem zerwane kwiaty,
Kto ich dochował zasób bogaty:
Myśl zwiędłą jeszcze skrzepią nadzieją,
I mrok nad bladém czołem rozwieją.

Halina.

Dziwnaż-to, dziwna pieśni potęga!
Po jéj promieniu duch tam dosięga,
Gdzie pełne zwodnéj a marnéj dumy
Wciąż się wikłają ludzkie rozumy.
Dzięki ci matko składam stokrotne,
Żeś mi sieroctwa chwile samotne
Osnuła w pieśni wątek zaklęty,
I w duszy płomień zatliła święty,
Przed którym pierzcha boleść i trwoga,
Gdy myśl ulata z ziemi do Boga!

Pani Adamowa.

Nie jam zatliła iskrą w twém łonie,
Co z wyższéj woli tak czysto płonie:
Bóg ją zapalał, dziécię, powoli,
By cię podźwignąć w sierocéj doli.
On ci ją w rosie zsyłał z obłoku,
W szumie olszyny, w gwarze potoku,
W wieczornéj pieśni stróża anioła,
Gdy błogosławi uśpione sioła;
W odgłosie dzwonów, co w późnéj dobie,
Wzywa do modłów na drogim grobie;
W pieśni skowronka, kiedy o wiośnie,
Rodzinne pola wita radośnie.
Baczyły na nią stare bociany,
Odwieczne stróże domowéj ściany;
Oneto strzegły, by obce wpływy,
Nie zmąciły krynicy żywéj,
Zkąd człek po Bogu, w strzechy swéj cieniu,
Błogą pociechę czerpie w milczeniu.

Halina.

Tyś mię od obcych wpływów broniła,
Twojém-to dziełem ta mężka siła,
Z jaką przemogłam sieroctwo moje,
Któréj nie zmogą żywota znoje.
Ty tarczę świętą dałaś mi wiary:
Toż mnie piołunne nie trwożą czary,
Ni mnie krzyżowe brzemię nie złamie,
Boś zhartowała młode me ramię!

(Patrzy na dolinę.)

Czy widzisz matko, ot niedaleko,
Tuman się kurzu wznosi za rzeką;
Zda się, że jeździec na siwym koniu,
Prosto ku Woli pędzi po błoniu.

Pani Adamowa.

O! to zapewne Stanisław młody.
Wrócił podobno do swéj zagrody,
Jak mi nasz pleban powiadał wczora.
Już mu nie żartem nadeszła pora,
By się jął pracy. Człek w młode lata
Niewiele zyska w odmęcie świata;
Lepiéj mu zawsze w domowym progu,
Kędy ojcowie żyli po Bogu.

Halina.

O tak! po Bogu zaprawdę żyli!
Pomnę ja jeszcze do owéj chwili
Zacną sędzinę, mą matkę chrzesną;
Lecz Bóg nawiedził śmiercią przedwczesną
Cichą ich strzechę; pod jednym głazem,
Po trudach życia spoczęli razem

---

*) J. B. Zaleski.

Tknięci zarazą, co ofiar tyle
Społem zagrzebła w chłodnéj mogile.

(Wskazując ręką na prawo.)

Ale patrz matko, w prawo przy młynie,
Jeździec uwiązał konia w gęstwinie;
Odczepia łódkę, znać rękę młodę,
Bo żwawo wiosłem porusza wodę.

Ha! to Stanisław! Poznam go przecie;
Pamiętam dobrze wesołe dziécię.
Złote miał włosy, a ciemne oczy,
A do zabawy jaki ochoczy!
Zda się, że jeszcze chłopczynę widzę,
Gdyśmy do lasu biegli na rydze,
Albo zbierali razem jagody;
Zawsze mnie Stasio prześcignął młody.
O! co to było wrzawy, uciechy,
Gdyśmy w leszczynie rwali orzechy,
A obie matki patrzały z boku
Na pląsy nasze z radością w oku.
Lecz rychło dzieciom ubiegł wiek złoty:
Dziś my oboje — biédne siéroty!....

Ale ot łódka ustaje w biegu:
Już do naszego dobija brzegu.
O! jakżem go téż zobaczyć rada!
Dziwnie światowa zmienia ogłada!
A on rok drugi jak skończył szkoły,
I odtąd bujał sobie wesoły
Jak mi mówiono, po wielkim świecie;
Aż chwała Bogu, zatęsknił przecie
Do domowego dzisiaj spokoju!

(Stary Zabój wybiega z budy, i biegnie ku bramie, w któréj ukazuje się Stanisław.)

Ot wchodzi w bramę,
— Cicho Zaboju!

Stanisław *(wchodząc wyświeżony i wyperfumowany.)*

Przebacza panie, że się sam stawię,
Choć blizki sąsiad, nieznany prawie.

Halina.

Nie mów pan tego; w mojéj pamięci
Wiek mój dziecinny błogo się święci!
Rodzice pana chrzestni mi byli.
Choć od sieroctwa naszego chwili,
Co spadła razem z wyroków Boga,
Pan się z własnego wydalił proga;
Toż mi lat młodych wdzięczne obrazy,
We mgle przeszłości świecą bez skazy!

Stanisław.

Dzięki ci pani!

Halina *(wskazując panią Adamowę.)*

To matka druga,
Którą, zapewne piérwszéj zasługa
Wymodliła mi u Boga w niebie.

Pani Adamowa.

Mnie to, Halino, Bóg zesłał ciebie,
By mi rozjaśnić podeszłe lata.

Stanisław.

Czemu tak panie zdala od świata
Życie w samotnéj pędzą ustroni?

Pani Adamowa.

Kwiat, co się wichru i słońca chroni,
Barwy podobno dochowa dłużéj:
Rodzinny powiew lepiéj mu służy!

Stanisław.

Wiosną i latem, jeszcze potrosze,
Pojmuję ciche wiejskie rozkosze,
Miłe przechadzki w cieniu dąbrowy,
Choć minął zdawna wiek sielankowy!
Lecz jak jesienne nadciągną chłody,
Co wtedy z wiejskiéj przyjdzie swobody?
W mieście tymczasem teatra, bale,
Tak zapełniają czas doskonale,
Że się nie pomni jak życie płynie!

Halina.

Tak, ale człeku w każdéj godzinie
Przed sobą samym sprawę zdać trzeba,
Czy nie nadużył dobrodziejstw nieba;
Czy z dość poważnéj pojmował strony
Dar życia święty, nieoceniony!
On, póki starość sił nie pokona,
Wiecznie, jak pająk, snuć winien z łona
Przędzę na korzyść ludzi swych braci.

Stanisław *(nieco zmieszany.)*

Świat dobre chęci niezawsze płaci!

Halina *(z wzrastającym zapałem.)*

Lecz kto pracuje szczerze dla świata,
Czyliż mu marną owa zapłata
Którą znachodzi w duszy swéj głębi?
O! chłodny powiew tego nie zziębi,
Stóp mu nie zrani żywota ciernie,
Kto służy prawdzie stale a wiernie!

Stanisław *(rumieniąc się, drżącym głosem.)*

I komuż przecie prawda niedroga?
Ta czysta gwiazda dana od Boga,
Aby nam lśniła wiecznie nad głową!
Ale choć człowiek chęć ma gotową,
Niezawsze jednak służyć jéj może!

Halina *(coraz żywiéj.)*

Każdemu pono wyroki Boże
Wytknęły zagon na świętéj ziemi,
By go uprawiał dłońmi znojnemi,
I ziarno na nim zasiewał z wiarą.

O! życie nie jest ułudną czarą,
By człek nią piersi krzepił bez celu
Jak ptak, co w wieczném nuci weselu,
A strawę z łaski znachodzi Bożéj!
Człowiek nim głowę w grobie położy,
Winien pracować ile sił stanie!
Toż kiedy ujżrzy, jako na łanie
Falują kłosy błyskając złotem,
Które on z czoła zasiewał potem,
Choć z nich spożywać nie będzie chleba;
Jednak on uczci wyroki nieba,
I rad w mogile zaśnie jak dziécię,
Gdy nie żył darmo na Bożym świecie!

Stanisław *(biorąc Haliny rękę.)*

O pani! jesteś cichym aniołem,
Co mrok obłędu zgania nad czołem.
Znać, że nie dotknął powiew skażony
Cudnego kwiatka białéj korony,
W którą cię ręka ubrała Boga!

Pani Adamowa *(wskazując na bór.)*

Widzisz pod lasem, Halino droga,
Jaki słup ognia bucha w oddali!

Halina *(wesoło.)*

To lud zapewne sobótkę pali:
Wszak-to noc słynna świętego Jana,
W któréj zakwita paproć nieznana.

Stanisław.

Jakże-to paproć zakwita przecie?
Tyś pani, cichéj doliny dziécię,
To ci wiadome pewno podanie.
Jam go zapomniał.

Pani Adamowa.

— Szkoda, mój panie!

Halina.

O! trzebaż ducha uzbroić mocą,
By zdobyć kwiat on, co dzisiaj nocą
Cudnie wykwita w dąbrowie staréj!
Naprzód potrzeba głębokiéj wiary:
Tylko wierzącym Bóg cuda zsyła!
Góry, prostaczków dłoń przenosiła,
Gdy uwierzyli! I trudu trzeba,
Bo w znoju łaska spływa nam z nieba!
Kto się nie strwoży groźnéj wichury,
Kto stawi czoło, gdy z czarnéj chmury,
Ognistym wężem grom tuż za gromem
Druzgocze dęby, a ich ogromem
Zawala ziemię, co je zrodziła:
Czyjaż się czarom ostoi siła?!
O! temu paproć cudna zapłonie!

A skoro czyje dotkną jéj dłonie,
Kędy myśl lotna jeno dosięga,
Wszystko tajemna kwiatu potęga
Ukaże człeku śmiałemu g'woli.
Gwiazda mu złotéj zabłyśnie doli,
I niby sokół szeleszcząc pióry,
Promienną prawdą lśniącą u góry,
Wskaże zbłąkanym, i mroczną dobą;
W ślad ich ku światłu powiedzie z sobą.

Stanisław.

Pani zapewne kwiat ten zdobyła?

Halina.

Nie! lecz ojcowie mieli go siła,
Zanim ponieśli głowę do grobu;
Ja tylko strzegę tego zasobu:
Bo snadniéj dawną zachować pono,
Niż powetować raz utraconą.

Stanisław.

O! strzeż jak dotąd święcić ogniska!

Pani Adamowa.

Corazto jaśniéj płomień połyska;
Ludzie gromadą ciągną do lasu,
Wśród różnych pląsów, śmiechu, hałasu.
Już i skrzypaków słychać w oddali,
Kędy sobótka łnną się pali.

(Słychać spiew dziewcząt.)

„Daléj, daléj, wieczór krótki,
Idźmy społem na sobótki;
Opasane w krąg bylicą,
Bieżmy kędy ognie świecą.
Zanim ranne wzejdą zorze,
My pląsajmy dziewki hoże.
Niechaj skrzypek tnie od ucha,
I piosenką skrzepi ducha.
Patrzcie — ogień już połyska;
Lećmy społem do ogniska,
Przeskakujmy w nocne cienie,
Ręka w rękę przez płomienie.
Chłopcy bieżcie w las przed nami,
Walić dęby siekierami:
Białe brzozy, stare sosny.
Bijcie żywo w bęben głośny.
Krzeszcie ognia podkówkami,
My dziéweczki w ślad za wami.
Idźmy żywo, wieczór krótki,
Daléj! daléj, do sobótki!"

Halina *(do Stanisława.)*

O! i my chodźmy pospołu z niemi.
To stary zwyczaj na naszéj ziemi:
Czcić go należy!

Stanisław.

Niech się uświęci
Złotemi głoski w naszéj pamięci!
Idźmy: nim północ zwiśnie nad światem,
W las za paproci pogonię kwiatem.
Kto wie: przeczucie mówi mi wieszcze,
Że zatracony, zdobędę jeszcze!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*